

*Commenter le texte en polonais et le traduire de « Zrozumiałem, że jestem... » jusqu'à « ... Jak zdmuchnięta, lawica ich uleciała w górę. ».*

## PRZYBYSZ

O dziewiętnastej czasu pokładowego zeszedłem, mijając stojących wokół studni, po metalowych szczeblach do wnętrza zasobnika. Było w nim akurat tyle miejsca, aby unieść łokcie. Po wkręceniu końcówki w przewód wystający ze ściany, skafander wydał się i otdąd nie mogłem już wykonać najmniejszego ruchu. Stałem — czy raczej wisiałem — w  
5 powietrznym łożu, zespolony w jedną całość z metalową skorupą.

Podniósłszy oczy, zobaczyłem przez wypukłą szybę ściany studni i, wyżej, schyloną nad nią twarz Moddarda. Znikła zaraz i zapadła ciemność, bo z góry nałożono ciężki ochronny stożek. Słyszałem ośmiokrotnie powtórzony świst motorów elektrycznych, które dociągały śruby. Potem — syk wpuszczanego do amortyzatorów powietrza. Wzrok  
10 przywykał do ciemności. Widziałem już seledynowy kontur jedyne go wskaźnika.

— Gotów, Kelvin? — rozległo się w słuchawkach.

— Gotów, Moddard — odpowiedziałem.

— Nie troszcz się o nic. Stacja cię odbierze — powiedział. — Szczęśliwej drogi!

Nim zdążyłem odpowiedzieć, coś zgrzytnęło w górze i zasobnik drgnął. Napiąłem  
15 odruchowo mięśnie, lecz nic więcej się nie stało.

— Kiedy start? — spytałem i usłyszałem szmer, jakby ziarenka najdrobniejszego piasku sypały się na membranę.

— Lecisz już, Kelvin. Bądź zdrow! — odpowiedział bliski głos Moddarda. Zanim w to uwierzyłem, na wprost mojej twarzy rozwarła się szeroka szczelina, przez którą  
20 zobaczyłem gwiazdy. Na próżno usiłowałem odszukać alfę Wodnika, ku której odlatywał Prometeusz. Niebo tych stron Galaktyki nic mi nie mówiło, nie znałem ani jednej konstelacji, w wąskim okienku trwał roziskrzony kurz. Czekałem, kiedy pierwsza gwiazda zafiluje. Nie dostrzegłem tego. Zaczęły tylko słabnąć i znikaly, rozplywajac się w rudziejacym tle. Zrozumiałem, że jestem już w wierzchnich warstwach atmosfery. Sztynny, otulony  
25 pneumatycznymi poduszkami, mogłem patrzeć tylko przed siebie. Wciąż jeszcze nie było horyzontu. Leciałem i leciałem, wcale tego nie czując, tylko powoli, podstępnie, ciało moje oblewał żar. Na zewnątrz zbudził się cichy, przenikliwy świegot jakby metalu po mokrym szkle. Gdyby nie cyfry, wyskakujące w otworze wskaźnika, nie zdawałbym sobie sprawy z gwałtowności upadku. Gwiazd już nie było. Przeziernik wypełniała ruda jasność. Słyszałem  
30 ciężki chód własnego tętna, twarz paliła, na karku czułem zimny powiew klimatyzatora; żałowałem, że nie udało mi się zobaczyć Prometeusza — musiał być już poza zasięgiem widoczności, kiedy automatyczne urządzenie otwarło przeziernik.

Zasobnik zadygotał raz i drugi, zawibrował nieznośnie, drzenie to przeszło przez wszystkie powłoki izolacyjne, przez powietrzne poduszki i wtargnęło w głąb mego ciała —  
35 seledynowy kontur wskaźnika rozmazał się. Patrzałem na to bez strachu. Nie przyleciałem z tak daleka, aby zginąć u celu.

— Stacja Solaris — powiedziałem. — Stacja Solaris, Stacja Solaris! Zróbcie coś. Zdaje się, że tracę stabilizację. Stacja Solaris, tu przybysz. Odbiór.

I znowu przegapiłem ważny moment ukazania się planety. Rozpostarła się olbrzymia,  
40 płaska; z rozmiaru smug na jej powierzchni mogłem się zorientować, że jestem jeszcze daleko. A właściwie — wysoko, bo minąłem już tę niepochwytą granicę, u której odległość od ciała niebieskiego staje się wysokością. Spadałem. Wciąż spadałem. Czułem to teraz, nawet zamknąwszy oczy. Otwarłem je natychmiast, bo chciałem jak najwięcej widzieć.

45 Wyczekałem kilkadziesiąt sekund ciszy i ponowiłem wezwania. I tym razem nie  
otrzymałem odpowiedzi. W słuchawkach salwami powtarzały się trzaski atmosferycznych  
wyładowań. Ich tłem był szum, tak głęboki i niski, jakby stanowił głos samej planety.  
Pomarańczowe niebo w przezierniku zaszło bielmem. Jego szkło ściemniało; odruchowo  
skurczyłem się, na ile pozwoliły pneumatyczne bandaże, zanim, w następnej sekundzie,  
50 pojąłem, że to chmury. Jak zdmuchnięta, ławica ich uleciała w górę. Szybowałem dalej, raz w  
słońcu, raz w cieniu, zasobnik obracał się wzdłuż pionowej osi i olbrzymia, jakby spuchnięta,  
tarcza słoneczna miarowo przepływała przed moją twarzą, pojawiając się z lewej i zachodząc  
po prawej. Naraz poprzez szum i trzaski prosto w ucho zaczął gadać daleki głos:

— Stacja Solaris do przybysza, Stacja Solaris do przybysza. Wszystko w porządku.  
Przybysz pod kontrolą Stacji. Stacja Solaris do przybysza, przygotować się na lądowanie w  
55 chwili zero, powtarzam, przygotować się do lądowania w chwili zero, uwaga, zaczynam.  
Dwieście pięćdziesiąt, dwieście czterdzieści dziewięć, dwieście czterdzieści osiem...  
Poszczególne słowa przedzielone były ułamkowymi miauknięciami, świadczącymi o tym, że  
nie mówi człowiek. To było co najmniej dziwne. Normalnie, kto żyw biegnie na lotnisko,  
kiedy przybywa ktoś nowy, i do tego jeszcze prosto z Ziemi. Nie mogłem się jednak dłużej  
60 nad tym zastanawiać, bo ogromny krąg, jaki zataczało wokół mnie słońce, stanął dęba wraz z  
równiną, ku której leciałem; po tym przechyle nastąpił drugi, w przeciwną stronę; kołysałem  
się jak ciężar olbrzymiego wahadła i walcząc z zawrotem głowy, zobaczyłem na wstającym  
jak ściana przestworzu planety, przegowanym brudnoliliowymi i czarnitawymi smugami,  
drobniutką szachownicę białych i zielonych kropek — znak orientacyjny Stacji.

65 Zarazem z trzaskiem oderwało się coś od wierzchu zasobnika — długi naszyjnik  
pierściennego spadochronu, który zafurkotał gwałtownie; w odgłosie tym było coś  
niewypowiedziane ziemskiego — pierwszy, po tylu miesiącach, szum prawdziwego wiatru.  
Wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko. Dotąd wiedziałem tylko, że spadam. Teraz to  
zobaczyłem. Biało-zielona szachownica rosła gwałtownie, widziałem już, że jest  
70 wymalowana na wydłużonym, wielorybim, srebrzyście lśniącym korpusie, z wystającymi po  
bokach igłami radarowych czujników, ze szpalerami ciemniejszych otworów okiennych, że  
ten metalowy kolos nie spoczywa na powierzchni planety, lecz wisi nad nią, ciągnąc po  
atramentowoczarnym tle swój cień, eliptyczną plamę ciemności jeszcze głębszej.  
Równocześnie dostrzegłem nabiegłe fioletem bruzdy oceanu, które ujawniły słaby ruch, naraz  
75 chmury odeszły wysoko, objęte na obrzeżach oślepiającym szkarłatem, niebo między nimi  
stało dalekie i płaskie, buropomarańczowe, i wszystko się rozmasało: wpadłem w  
korkociąg. Nim zdążyłem się odezwać, krótkie uderzenie przywróciło zasobnikowi pionową  
pozycję, w przezierniku roziskrzył się rtęciowym światłem sfalowany, aż po dymny horyzont,  
ocean; warczące liny i pierścienie spadochronu odzepiły się nagle i poleciały nad falami,  
80 niesione wiatrem, a zasobnik zahustał się miękko, owym szczególnym, zwolnionym ruchem,  
jak zwykle w sztucznym siłowym polu, i obsunął się w dół. Ostatnią rzeczą, jaką zdążyłem  
zobaczyć, były kratowe katapulty lotnicze i dwa, wznoszące się chyba na kilka pięter, lustra  
ażurowych radioteleskopów. Coś unieruchomiło zasobnik z przeraźliwym dźwiękiem stali,  
uderzającej sprężyste o stal, coś odemknęło się pode mną i z przeciągłym, sapliwym  
85 westchnieniem metalowa łupina, w której tkwiłem wyprostowany, zakończyła swoją  
stuosiemdziesięciokilometrową podróż.

— Stacja Solaris. Zero i Zero. Lądowanie skończone. Koniec — usłyszałem martwy  
głos kontrolnego urządzenia. Obiema rękami (czułem niewyraźny ucisk na piersi, a  
wnętrza stały się wyczuwalne jako niemiły ciężar) ująłem rękojeści na wprost barków i  
90 rozłączyłem kontakty. Zajaśniał zielony napis ZIEMIA i ściana zasobnika otworzyła się;  
pneumatyczne łoża pchnęły mnie lekko w plecy, tak że musiałem, aby nie upaść, zrobić krok  
naprzód.

Stanislas LEM, *Solaris*, 1961.